

RAPTULARZ

JMĆ. Pana

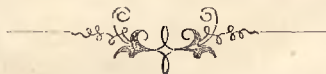
SKARBNIKOWICZA BRACŁAWSKIEGO

Z RĘKOPISMU WYDAŁ.

STANISŁAW KRAKOWIANIN.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!

KOCHANOWSKI. Pieśń XIX.



W KRAKOWIE

W Drukarni „CZASU“ W. Kirchmayera.

1870.

KSIEGOZBIÓR
Dr-a Tadeusza Dubieckiego

LPI 5 B

468733

II

K-74/7100

6.6.

15,-



PRZEDMOWA.

Ktokolwiek z czytelników prawdziwych, to jest takich co to czytać lubią, zwiedzał choć raz w życiu swoim miasto Human, musiał zapewne poznać się z figurą, niegdyś znaną całemu powiatowi, ze starozakonnym Abramkiem Przyjacielem. Żyd ten miał stosunki z każdym przyjezdnym, usłużny dostarczał wszystkiego każdemu według jego żądania. Raz tedy będąc w Humanu i poszukując ciągle pamiątek odwiecznej naszej przeszłości, zdjęty ciekawością, wstąpiłem do straganu Przyjaciela. Abramko znał mnie dobrze, wiedział doskonale, czem mi usłużyć potrafi, przeto niewspominając ani słowa o rzeczach pożytecznych dla innej młodzieży, jakoto: koniach, chartach, romansach i romansowych pannach, ujrzawszy mnie, pogłaskał swą długą, siwą brodę i uchyliwszy jarmużki: Awade git jasny Panie, dla JPana mam coś

a fain, aj waj mir. Jaki rękopiśmniech tylko dziś dopiero kupiony z biblioteki Pana Posesora. Ryfke wi heist er — Pan Posesor? — Pan Kurkiewicz, Taty — odrzekła zagabnięta dziewczyna.

Niegardząc nigdy żadną choćby najmniejszą sposobnością nabycia czegobądźkolwiek w moich poszukiwaniach, prosiłem Abramka, aby pokazał owe dzieło fain, ów rękopism, który tak zachwalał. — Opinia, z której znałem z opowiadania bibliotekę JMci Pana Kurkiewicza, nie zachęcała mnie wcale do przeglądu stręczonego dzieła, dlatego, że JMci Pan Kurkiewicz, syn niegdyś wzbogaconego ekonoma, znany był w powiecie jako koniarz, jarmarkowicz i kwita, nie mogłem się więc spodziewać żadnego ważnego dzieła znaleźć tam, gdzie nadpsute kazania sejmowe X. Skargi pierwszego wydania, szły pod mazurki, a resztki dyaryuszów i konstytucyi służyły za sukienki dla bab i placków Wielkanocnych. Zresztą JMci Kurkiewicz miał w wielkiem poszanowaniu i szczególniejszej adoracyi pewne dzieło znane; z dziełem tem w ręku zasypiał on co wieczora snem błogosławionych, z dziełem tem jeździł po jarmakach i podróżach — a jeżeli Szanowny Czytelnik ma ciekawą naturę, to mu odpowiem, że dziełu temu był tytuł: Rinaldo Rinaldini przypomniawszy sobie to, com przed chwilą powiedział, sądziłem i byłem tego prawie pewny, że rękopism z biblioteki JMci Pana Kurkiewicza, mieścić w sobie będzie piękniejsze ustępy z Rinaldiniego przekopiowane niezbyt wprawną ręką. Po chwili, gdym już zniecierpliwiony, snuł bez końca domysły, Abramko Przyjaciel przed-

stawił mi rękopism niewielki *in quarto*, z początku jak się zdaje obecnego wieku pisany już drżącą ręką jakiegoś starca, znalazłszy zaś w nim ciekawe ustępy z przeszłości, umyśliłem je ogłosić drukiem, nadawszy stosownie do treści rękopismu tytuł: *Raptularz JMci Pana Skarbnikowicza Bractawskiego*.

Pisałem dnia 22 Lutego 1869 r.

EX LIBRIS
MARIANI DUBIECKI

RAPTULARZ

JMei Pana Skarbnikowicza.

I.

Doszedłszy do lat plus minus średnich, gdy żywot mój zbliża się już jakobyto ku końcowi, dla pamiątki znajomych a przyjaciół, których już nie sporo zostało mi w tej doczesnej pielgrzymce — skreślić zamyslałam przebieg żywota, okoliczności i przygody moje.

W pamiętny całemu narodowi polskiemu rok rzezi humanńskiej — w domie moich ś. p. rodziców Andrzeja skarbnika bractwskiego i Heleny z domu Doradzkiej Przeradzkich przyszedłem na świat. — Było to na wiosnę, cała natura ożywiona jasnymi promieniami słońca, odrodzona na nowo po okropnej zimie — uśmiechała się do mnie wesoło — ptaszęta śpiewały swobodnie — kwiaty cudną woń wokoło siebie roztaczały — a ja tylko

jeden, jakoby z dzieciństwa obdarzony przecuciem późniejszej smutnej przyszłości — płakałem rzewnie.

Początki wychowania i nauki pobierałem w domu; mój ś. p. rodzic, człek surowy i ostry, trzymał mnie mocno w klubach, a z JMci Panem Boćkowskim nader często miałem zaszczyt się spotykać.

Zato ś. p. moja najukochańsza Pani-matka, pobożna i czuła niewiasta — nieraz mnie do swego serca hołubiła — a nawet czasami wypraszała mnie od surowej kary.

Ona to mnie pierwsza zaczęła uczyć. Z wielkiej, zawsze pamiętnej dla mnie księgi do nabożeństwa, uczyłem się abecadła, później zaś czytałem ją codzień — a tym sposobem z najmłodszych lat życia pobożne zasady wchodziły w duszę i krew moją.

Gdym ukończył lat 14 i był już prawie wyrostkiem — pilnowałem gospodarstwa ojcowskiego i częste robiłem wyprawy do lasu na grubego zwierzka. — Animusz i odwaga były we mnie takie, że m się już wtedy kilka razy potykał z wilkiem, a zajęcy i lisów co nie miara *proprio motu* kunsztownie nałapał w połapki.

Raz, przypominam sobie dobrze tę chwilę, wieczorem o zmierzchu wróciłem z łowów — Pani-matka moja kazała mi się przedziać, włożyć na się świeżo uszyty przez żydka kubrak, kitajkowym pasem się podpasać i rzekła:

— Bóg nam dał dzisiaj wielkiego gościa — przewielebny X. Rektor szkoły Bazylikańskiej w Humaniu raczył nawiedzić naszą ubogą strzechę — jak wejdiesz do izby, pamiętaj, kornie schyliwszy czoło, ucałować Dobrodzieja

w kolana i słuchaj pilnie a bacznie, co on mówić ci będzie!

Na te słowa ucałowałem Panią-matkę z uszanowaniem w ręce, poprawiłem ubranie, i wolnym krokiem wszedłem do izby.

Na ławie dębowej pod ścianą siedział mój rodzic mocno zadumany — obok niego w krześle oparty wygodnie na poręczach siedział poważny starzec. — Włos siwy, długi, malowniczo spadał mu na ramiona — twarz blada i wychudła, a na czole mnóstwo było zmarszczek, któremi je losy przeciwne poorwały głęboko.

Gdym ucałował nogi — X. Rektor zagabnął mnie po łacinie:

— *Salve puer — scisne linguam latinam?* Moci Dobrodzieju.

Struchlałem na tę mowę; po raz pierwszy w życiu jakieś inne obce wyrazy obily się o moje uszy — zamilkłem więc i spuściwszy do ziemi oczy stałem zmieszany.

Usłyszawszy te słowa rodzic mój, ocknął się z zadumania.

— *Reverendissime*, mój warchołt — *ignarus est, linguam latinam jeszcze non studiabat!*

— O! Moci Dobrodzieju — panie skarbniku — *curiositas* Moci Dobrodzieju — *curiositas vera* — wyrostek JMci Pana — *jam fere, ut mihi videtur 15 annos habens* — jeszcze dotychczas *asinus* — *magna crimen* — a później obrócił się do mnie i łagodnie rzekł w te słowa:

— Pora Kalasiu się uczyć, pora — proś Ojca Dobrodzieja aby cię spuścił na czas jakiś do nas. — U nas w konwikcie Moci Dobrodzieju — nauczysz się wiele pięknych i pożytecznych rzeczy. — A czy chcesz się uczyć?

Wtedy rodzic mój skinął na mnie ręką — pozwalając przyjść do słowa, więc rzekłem:

— Jak Ojciec Dobrodziej każe, to gotów jestem uczyć się.

— Panie Skarbniku, Moci Dobrodzieju, prosimy do nas malca swojego przywieść — a tam już się wykierować może na godnego i słusznego obywatela, których teraz tak *patet Patria nostra!*

— Amen, odrzekł mój rodzic — *fiat voluntas tua, Reverendissime!*

Usłyszawszy te słowa, padłem jak długi do stóp rodzica mego i taki był we mnie wtedy ferwor i zelozya do nauk, żem aż z radości się rozbeczał. Rodzic podniósł, pobłogosławił i rozkazał abym nazajutrz był gotów do drogi.

Nazajutrz rano, ledwo słońko wyrzało na niebiosa, upakowawszy nieco manatków moich do zawiniątka, byłem już gotów do drogi wedle rozkazów Pana Ojca.

Matka z rozrzewnionem okiem spozierała wciąż na mnie i dawała mi nauki bojaźni Bożej i wystrzegania się

grzechu, a ja z uszanowaniem słuchałem poważnych słów i kiedy-niekiedy całowałem rodzicielkę w ręce.

Nareszcie ukończywszy swe nauki, rodzicielka kazała mi uklęknąć przed sobą w alkierzu i zdjawszy ze ściany obraz Matki Najświętszej Częstochowskiej, z rozczulonem sercem błogosławiła mnie, a kilka gorących łez matki spadło mi na głowę....

W tej chwili na progu alkierza ukazała się groźna dla mnie zawsze postać ojca. — Hola panie Kalasanty! Pani-matko dość już dość płakać! Synu, przed tobą przyszłość, pracuj i ucz się, ażebyś mógł być kiedyś pożytecznym Ojczyźnie naszej Rzplitej; straszne są czasy, brat powstaje na brata, król słaby słucha obcej namowy, a naród nasz upada. Synu, na tobie nadzieja moja, naszej rodziny, a może nawet i ojczyzny. Pamiętaj, abyś nie dla próżnej chluby i popisu uczył się w szkole, praca twa powinna mieć wyższe cele: *Amor et fructus Patriae*, miłość i pożytek ojczyzny, tak jak przystoi na godnego Polaka i urodzonego z antenatów szlachcica!

I wzięwszy krucyfiks w ręce, zrobił nim nad głową moją kilka razy znak krzyża świętego, i rzekł: Niech cię Bóg i Matka Najświętsza błogosławią. Wstań i idź w drogę, wózek z Iwasiem stoi na dworze, a ksiądz rektor już w kałamaszce oczekuje na ciebie!

Żal mi ścisnął serce na te słowa, wszystko com ukochał oddawna, zmuszony byłem porzucić — i ojca, i matkę, i tę rodzinną strzechę z drogiemi dla mnie wspomnieniami, i tego siwosza, na którym uganiałem po polu, i te psy moje, i wreszcie tych wszystkich ludzi z czeladzi ojca mojego, których tak serdecznie lubilem.

Łzy stanęły mi w oczach, westchnąłem, a potem upadłszy do nóg rodziców i przeżegnawszy się, usiadłem na wózku i Iwaś ruszył.

Podróż szła nam niesporo; po okropnej ukraińskiej drodze, idącej przez świeży karczunek lasów, pomiędzy lasami widniejącemi w oddaleniu, wlekliśmy się zwolna. Wsie ubogie i mało zasiedlone, a leżące w dalekiem od siebie oddaleniu, mało urozmaicały jednostajność okolicy. Dla mnie ta podróż była nader dziwna; z jednej strony żał mi było domu i wszystkich moich, to znowu cieszyłem się jak ten koń młody, co wyrwawszy się ze stajni buja sam bez wędzidla i hasa po stepie, to nareszcie straszno mi było na myśl szkół, konwiktu i znanych mi oddawna z opowiadania OO. Bazylianów z długimi nahajkami w cholewach.

Z uczuciem takim wjechałem nareszcie przez bramę do miasta Humania. Zewsząd ciągnące się dębowe wysokie oparkanie, z wznoszącemi się po rogach ulic basztami najeżonemi armatami, nadawało miastu temu widok twierdzy. Ulice wąskie i brudne, zamieszkałe przez plugawe żydostwo w małych i niskich domkach, sprawiły na mnie wcale niemiłe wrażenie, a zwłaszcza gdy sobie przypominał niedawno ubiegłe czasy, i terażniejszą zmianę, strach mnie przejął tak wielki, żem zapomniał w gębie języka, podjeżdżając pod klasztor OO. Bazylianów.

Kiedym podjechał pod bramę, ujrzałem na podworcu mnóstwo chłopaków igrających w piłkę, palcaty i tym podobne gry, i wesoło wyskakujących i biegających w zawody. Na widok X. Rektora wszyscy ucichli, stanęli jak wryci i z uszanowaniem pokłonem przywitali swego naczelnika.

Po ulokowaniu mnie w konwikcie, X. Rektor kazał mnie do siebie zawołać do swojej celi. Wszedłem więc nieśmiało i stanąłem przy progu.

— *Laudetur Jesus Christus* — mówi się na przywitanie, mości Kalasanty, czyż nie wiesz? Jam struchlał cały, i dopiero wtedy oprzytomniałem, gdym uczuł na plecach ból od ciężkich razów benefaktora X. Przełożonego.

— Pamiętaj asan to raz na zawsze, a teraz marsz do konwiktu; napisać mi list do rodziców, a jutro rano stawić mi się na egzamina do sali.

Ukloniłem się nisko, i wyszedłem po tych słowach, a w plecach czułem ciągły ból i gorąco.

Nazajutrz ze wschodem słońca, dzwonek zbudził mnie odrazu; zerwałem się na równe nogi, i w kilka minut ubrany już w ordynku z towarzyszami szedłem do kościoła. W kościele w czasie służby bożej, której słuchaliśmy wszyscy klęcząc, modliłem się gorąco do Boga za rodziców, krewnych, i prosiłem ze łzami w oczach o powodzenie i błogosławieństwo. Po ukończonej

mszy świętej, wobec OO. profesorów w ogromnej klasztornej sali, po krótkim egzaminie, odesłano mnie do prymy, to jest pierwszej klasy następującej po infimie. Odtąd zacząłem pracować usilnie, i tak, że w lat kilka ukończyłem zupełnie szkoły OO. Bazylianów.

Ojciec dobrodziej odwiedzał mnie kilka razy do roku; na święta za pozwoleniem X. Rektora jeździłem do domu, a Pani-matka zwykle co roku odwiedzała mnie na śś. apostołów Piotra i Pawła, wtedy gdy uroczysty publiczny egzamin zwykł był kończyć rok szkolny.

Z czasu pobytu mojego w szkole, pozostały mi nader miłe wspomnienia; poczciwi i zacni OO. profesorowie, chociaż surowi i wymagający, lecz sprawiedliwi zawsze, wpajali w nas z całym zapalem zamiłowanie nauki i prawdy; towarzysze moi swoim ujmującym obejściem się zniewalali me serce, tak, że wielu między nimi liczyłem przyjaciół.

Karany byłem raz jeden za swawolę. Było to w reторыce; w mieście zmarł był przed kilkoma dniami żyd cyrulik nazwiskiem Icek, a że był niecierpiany od nas za swą nieuczciwość, przeto umyśliliśmy mu wypłatać figla. Nie mówiąc nikomu ani słowa, udaliśmy się w kilkunastu na okopisko w nocy, pragnąc wydobyć zwłoki żyda z grobu. Udało nam się to wybornie, wydostawszy Icka z grobu, pocichu zanieśliśmy go na barkach tajemnie do miasta i tam pod domem żony jego postawiliśmy pod oknami, podparłszy go kijem. Zaledwieśmy się nieco od tego domu oddalili, bachor żydowski wybiegł na ulicę, a ujrzawszy stojącego pod oknami trupa, narobił takiego gwałtu, że nie tylko wszyscy żydzi

z tego domu uciekli na ulicę, ale i w całym mieście zrobił się ruch nadzwyczajny. Stojąc w oddaleniu ukryci, śmialiśmy się z tego wypadku, a później po cichu wróciliśmy do konwiktu. Nazajutrz w czasie lekcyi delegacya z miasta składająca się z samych starozakonnych przybyła do X. Rektora, opowiadając z płaczem całą wczorajszą przygodę i oskarżając poprostu od razu panów skubentów jako sprawców. Wtedy X. Rektor wszedł do klas, zabrał nas wszystkich bez wyjątku do refektarza, przyniesiono różgi owe, któremi Duch św. dziateczki bić radzi, i wyliczono nam każdemu po 25, a później zamknięto nas w sali głównej na dobę o chlebie i wodzie.

Żydzi uzyskawszy sprawiedliwość oddalili się do mieszkań swoich, a zwłoki pamiętnego nam Icka rabin powtórnie pogrześć kazał na okopisku.

Ukończywszy *prima cum laude* szkoły bazylikańskie, w czasie wakacyj w domu rodzicielskim czytałem ojcu dobrodziejowi Horacyusza *in originali* i wolnym przekładem oddawałem go rytmem polskim. Praca ta podobala się nader ojcu dobrodziejowi; pochwaliwszy ją tedy, zawiózł do Humania do X. Rektora, z którym naradziwszy się, postanowił wyprawić mnie na uniwersytet krakowski, jako *Almae mater et scientiarum margaritae*.

We mnie aż serce zadrgało z radości, na słowa te wyrzeczone przez mojego ojca dobrodzieja. Nauka tak mi była zawsze drogą i ukochaną, żem dla niej płonał

prawdziwem uczuciem miłości, mimo mój wiek już dwudziestokilkoletni. Na niewiasty patrzeć nigdy nie chciałem unikając ich jak prawdziwe *opus diaboli*...

Po ukończeniu wakacyj i znowu po błogosławieństwie rodzicielskiem, wyprawiony zostałem już konno w samotrzeć z pachołkiem Tymoszkim w podróż do Krakowa.

Przy wyjeździe z domu dziwnie mi smutno były kręciły się w oczach, a jakieś przeczucie złowieszcze szeptało zwolna w duszy wyrazy okropne: już ich więcej w życiu nie zobaczysz!...

Okrutne *omen* zażegnałem modlitwą gorącą, pobożną, po której lżej mi się zrobiło na sercu i spokój jakiś błogi spłynął do duszy...

Nie pomnę już doprawdy kiedy, lecz wiem, że dość późno stanąłem we Lwowie, — stolicy świeżo zabranej części Rusi czerwonej, którą ochrzczono mianem Galicyi.

Smutne położenie współbraci pod obcym rządem, obfitość snującego się po ulicach cudzoziemskiego żołnierza, tak przykre na mnie zrobiły wrażenie, że niebawiac dłużej jak potrzebowiałem na odpoczynek, ruszyłem w dalszą podróż.

Zbliżając się do Krakowa, owej odwiecznej a prastarej stolicy królów naszych, gdym ujrzał w oddaleniu wznoszące się poważnie jego świątynie i na górze Wawelu drogą dla serca każdego Polaka katedrę krakowską, tchu mi zabrakło w piersiach, coprędzej zeskoczyłem z konia i padłszy na kolana, z kornem czołem i rzewnem uczuciem ucałowałem ziemię i podziękowałem Bogu, że mnie szczęśliwie doprowadził do celu moich pragnień, do przedmiotu mych marzeń, do Krakowa, a bardziej jeszcze do słynnego ówczesnie uniwersytetu...

Wkrótce przez poważną Floryańską bramę, wjechałem wolno do starożytnego grodu, a cała przeszłość nasza żywo, wyraźnie stanęła mi przed oczyma...

Mieszkanie znalazłem sobie przy ulicy Franciszkańskiej w domu kupca Orowicza. Nazajutrz po przyjeździe i wysłuchaniu mszy świętej na Wawelu, przedstawiłem się Rektorowi Uniwersytetu, a gdym złożył dyplom mój i list X. Rektora Bazylianów z Humania, pisany cały wykwintną łaciną, uważałem, że mi się podobał rektorowi i przeto przyjęty zostałem jako student na wydział filozoficzny.

Wróciwszy do domu, konie swe dwa sprzedałem, a sam zostawiłem przy sobie pachółka Tymoszka.

Na drugim roku naukowym, szukając rozrywki i odpoczynku po trudach scienceficznycch, *auxiliante college meo Onuphrio Nahajkiewicz*, zabrałem znajomość z prze-

zaczynam a szanowanym w mieście domem mieszczańskim JMc Panów Piórkowskich. Tam ~~głębka~~ ich córka JMc Panna Hanna Piórkowska zajęła mi *cum sua venustate* serce me tak *velociter et totaliter*, że *scientiae* odłożyć zmuszony byłem *a parte*, a sam *utique homo furiosus die ac nocte* stawałem pod oknami mej bohdanki i zaglądałem, czy nie ujrzę jej *pulcherrimam faciem*. Schodziła też ona do mnie razy kilka, gdy *nemo* widział, *loquebatur* ze mną *cum omni charitate et amoenitate*, tak, że raz *audacitatem meam* posunąłem do tego stopnia, że wszedłszy do komnaty i zastawszy ją wygrywającą przeróżne melodye na klawicymbale *alias* szpincecie, po zwykłem powitaniu ukląkłszy przed nią gdym począł wyrażać mój afekt strzelisty w gorących wyrazach, ona krzyknęła, a wtedy w drzwiach alkierza ukazała się poważna *mater sua* i zawołała ją po imieniu. Hanna moja jako lotna łania skoczyła co rychlej do swej pańimatki, a ja *cum corde pleno* rozpaczy, opuściłem podwoje kamienicy tak fatalnej dla mnie...

Zeszedłszy na ulicę w żalu, rozpaczy i smutku, postanowiłem udać się *in convento F. F. Camaldulorum* na Bielany, i tam *usque ad vitae finem* włożywszy zakonny habit służyć Bogu, całemu światu powiedziawszy furda!

W żalości mej wielkiej zmyliłem drogi, zamiast udania się *directe* na Bielany, Grodzką ulicą wszedłem na rynek, a ztamtąd zbliżając się do ulicy Wiślniej, na boku na rynku ujrzałem z wielkiem zdziwieniem mojem *tumultus* ludzi, w środku ich powiewający sztandar narodowy, a jakieś głosy dolatywały do mnie zdaleka.

Zdjęty ciekawością zbliżyłem się, a gdym ujrzał
 zacnego męża, a wielkiego sławy człowieka JMci Pana
 Tadeusza Kościuszkę, stojącego pod sztandarem narodowym
 i posłyszałem słowa przysięgi, poważnie i uroczyście przez
 niego wobec ludu wyrzeczone, oprzytomniałem zupełnie;
 postać poszarpanej przez wrogów, krwią zbroczonej
 i w kajdanach jęczącej ojczyzny naszej, tak mi stanęła
 żywo przed oczyma, że mi się zbliżył do naczelnika i uca-
 łował kolana jego, prosząc, aby mi także wolno było
 walczyć pod jego rozkazami. Obok sztandaru ujrzałem
 stojącego mojego pacholka Tymoszka; przebrany za Kra-
 kowiaka, zbliżył się po chwili do mnie i podając dłoń
 mi swoją, wyrzekł ze łzami radości w oczach: Nech
 żyje Polszcza, Lachy, a z nymi i nasza Ukraina. Na
 Moskała, na wraha, huraha!

I od tej chwili zostaliśmy już nie jako dawniej było:
 jam został oficerem, a Tymoszko żołnierzem i kosynie-
 rem; pod Racławicami biedaczysko zginął. Żał mi go
 było bardzo, dobry to był i uczciwy chłop, a ojczyznę
 kochał jak prawdziwy szlachcic karmazyn. *Requiescat
 in pace.*

Błogosławione czasy *insurrekci*, szybko nam leciały,
 kilka potyczek, kilka walnych bitew, w których wszy-
 stkich z bronią w ręku występowałem, oto całe wspo-
 mnienia z tych czasów.

Nareszcie przysłała fatalna a ostatnia potrzeba pod Maciejowicami, ja *ductus* jakimś łowieszczym *omen*, odbyłem *cum contrito corde sacramentum poenitentiae* przed JMc Księdzem kapelanem naszym, i z czystym sumieniem za wydanem hasłem skoczyłem do boju. Krew lała się potokiem, nasi padali, armaty grały.

W jednej chwili zrobiło mi się ciemno przed oczyma, z konia powaliłem się jak długi na ziemię, a po jakimś czasie, gdy przyszedł do przytomności, znalazłem się w chacie chłopskiej, na ziemi, krew obficie z moich ran płynęła, z nadworu posłyszałem kroki jednostajne, później głosem grubym wyrzeczone wyrazy: *kto idiot!*

A więc już jestem w jassyrze u niewiernych, pomyślałem smutnie i cały zalałem się łzami. Uczucie to tak smutne i przerażające na mnie sprawiło wrażenie, że znowu stracił przytomność.

Nie pamiętam już doprawdy jakem długo tak zostawał... W nieszczęściu narodowem, którego ciężar czułem sercem całym... utraciłem z rozpaczy zmysły, śmiałem się jak szalony, śpiewałem, płakałem i zgrzytałem zębami.

Po kilkodniowej chorobie, w chwilach przytomności, poznawałem, że jestem wśród wrogów, związany na wozie, konwojowany przez liczne oddziały kozactwa... Dokąd nas wieziono nie wiedziałem, bom już wszystko zapomniał o czem tylko kiedykolwiek wiedziałem...

Raz w chwili niejakiej przytomności, chcąc się dowiedzieć coś o naszym ukochanym naczelniku, nieśmiało zapytałem obok mnie idącego kozaka.

— *Malczy buntowszczyk* — odrzekł ze złością — *twoj sobaka naczałnik kak i ty sukinsyn w plenu wezut jeho tam gdzie i tiebia.*

— A dokądże — zapytałem.

— *W Pitier, do matuszki Caryci* — i zamilkł.

Po długiej i uciążliwej bardzo podróży, stanęliśmy nareszcie w stolicy moskiewskiego carstwa. Pomimo ran moich i choroby a osłabienia, umieszczony zostałem w twierdzy Petropawłowskiej, *in fundo*, jakoby jaki złoczyńca lub zbój, ja com bronił całości ojczyzny i walczył za jej niepodległość...

Cela więzienna była mała, wilgoć przedzierała się do środka przez ściany i sufit, a plugawe robactwo wszelkiego rodzaju gnieździło się swobodnie na podłodze i barłogu moim co mi miał zastępywać łoże. Przez mały całowy może otwór wpadało nieco światła dziennego.

Żywot mój w tej dobie był nader ciężki i okropny; nędza i niedola na każdym kroku mnie spotykała, a zepsute śledzie, zakwitły chleb i nieco wody, co stanowiły moją codzienną strawę, zatrzuwały do reszty moje nadwątlone zdrowie.

Siedziałem tak długo, o nadzwyczaj długo, straciłem już był nawet i pamięć czasu, aż oto w pewny poranek zjawia się do więzienia mego oficer jakiś moskiewski i objawia mi imieniem nowego cara wolność.

Z radością przyjąłem tę wiadomość, zewlokłem się z mojego łoża boleści, i chwiejącym się krokiem wyszedłem na próg więzienny. Świeże powietrze i blask dzienny tak mnie silnie nderżyły, że zachwiał się, w oczach mi zciemniało i padłem na ziemię...

— *Biednyj Paliak* — odezwał się wtedy oficer — podał mi ratunek, i wkrótce przyszedłszy do sił udałem się do miasta, zkąd po kilku dniach, moskiewską perekładną i pocztowemi końmi pędziłem do mojej wioski, hen, aż na Ukrainę....

II.

Wiosko moja rodzinna! ulubiony przybytku mojej młodości, z jakąż niecierpliwością dążyłem ja do ciebie! Rachowałem chwile, które mi się tak długimi wydały...

Aż oto nareszcie, a było to późną jesienią, wieczorem, po najokropniejszej drodze dojechałem do Humania....

Dla powzięcia wiadomości o rodzicach, natychmiast pospieszyłem do klasztoru OO. Bazylianów. Tu zapytałem o X. Rektora, odpowiedziano mi, że już dawno nie żyje. O. profesor wymowy, mój największy przyjaciel i opiekun, złożony oddawna chorobą spoczywa na łożu boleści, aż w końcu wstąpiłem do O. fizyka.

Małego wzrostu, krępy, siwiuteńki jak gołąb kapłan, otworzył mi drzwi celi swojej; po zwykłym przywitaniu, udzielił mi smutnej, okropnej wiadomości. Moja ś. p. matka przed dwoma laty na wiosnę oddała Bogu ducha,

a ojciec w pół roku po niej, a może trochę więcej, dowiedziawszy się o fatalnej przegranej naszej pod Maciejowicami i o ostatecznym upadku ojczyzny. Jak mi X. fizyk opowiadał, to zgon ś. p. ojca mojego był taki: w wigilią imienin swoich przyjechał on do Humania, nazajutrz rano odbył spowiedź świętą, po której wróciwszy do klasztoru gdy się dowiedział o smutnym dla kraju całego wypadku, w celi O. profesora wymowy padł i raptownie zakończył życie.

Wtedy to, słuchając tego smutnego opowiadania, przyszły mi na myśl słowa nieraz mówione do mnie przez ś. p. rodzica:

— Ojczyznę, synu, jako wspólną matkę naszą, miłuj nadewszystko na świecie — dla niej najpierwsze są obowiązki, dla niej życie i zdrowie, szczęście i bogactwa poświęcić należy, bo gdy ona umrze nam z dopuszczenia Bożego, i nam żyć nie ma już poco!

Ze skołataniem od boleści sercem nazajutrz udałem się na grób rodzicielski, na cmentarz, cisza tam była zupełna, posepnie stały krzyże jeden obok drugiego, gdzieś niedaleko drzewko огоłocone z liści, a w oddaleniu na wysokiej figurze męki Pańskiej co stała na rogu cmentarza siedział sęp — i pomyślałem sobie wtedy w duchu: kraj grobów, to obecnie ojczyzna nasza, a w dali siedzący sęp, to wróg nasz Moskal....

Na wieczór dnia tego byłem już w domu. Poczciwy stary Daniel, niegdyś ojcowski podstarości, a później rezydent, o kiju zwolna wyszedł na moje spotkanie. Ujrzawszy go, ze łzami rzuciłem mu się w objęcia.

Później nieco, w alkierzu mojej matki, usiedliśmy sobie przy kominie, i tam słuchałem opowiadań smutnych o moich rodzicach....

Moja najdroższa matka, dowiedziawszy się że m rzucił uniwersytet, a wstąpił pod sztandary Kościuszki, często zalewała się łzami, aż w końcu z żalu i tęsknoty za mną, błogosławiąc mi zawsze, pożegnała ten świat.

Mój rodzic znowu inaczej, gdy odebrał wiadomość o tem, że m poszedł służyć Ojczyźnie, westchnął, przeżegnał i radośnie zawołał:

— Dzięki Bogu Najwyższemu, moja Heleno, nasz Kalasanty służy Ojczyźnie, walczy za jej niepodległość, a może w tej chwili krew za nią przelewa. Cześć mu i zasługa, a dla nas chwała, żeśmy wychowali syna na obrońcę Ojczyzny! Boże Wszechmogący, dzięki Ci największe żeś mi pozwolił doczekać tej ważnej chwili!

— I od tego momentu pan skarbnik, ciągnął dalej Daniel, z niecierpliwością oczekiwał każdej wiadomości, aż do swojej spowiedzi, z której już nie wrócił do nas. Od śmierci ś. p. państwa skarbnikostwa, ja zostałem tu sam jeden; mój następca podstarości JMc Pan Zuckiewicz, przemknął się za Wisłę do oddziału Kościuszki, jeszcze za życia ś. p. pana skarbnika, zostałem tylko ja na gospodarstwie, i ten stary pies ulubieniec pana skarbnika stary kucy.

Wypocząwszy z podróży, sprawilem exekwie naprzód w Humaniu u OO. Bazylianów za duszę ś. p. rodziców a później w cerkiewce naszej wioski i nareszcie wzięłem się do gospodarki.

Z upadkiem Ojczyzny i utratą zupełną nadziei jej odzyskania, oddałem się gospodarstwu, dla utrzymania nędznego żywota mego na ziemi, dla którego znowu uprzyjemnienia, zacząłem skrzętnie zbierać pamiątki naszej przeszłości.

W roku następnym rozkopałem zaraz kilka mogił na gruntach wsi położonych, a przedmioty tam znalezione zabrałem do domu i zacząłem tworzyć niejako rodzaj muzeum na małą skalę.

Odtąd zbierałem ciągle i pielegnowałem starożytności jako pamiątki i zabytki przeszłości naszej, tak niegdyś wielkiej i świetnej, w dzisiaj tak smutnej i nieszczęśliwej terażniejszości.....

Tu następuje kilka próżnych kart w raptularzu, a dalej znowu tak pan Skarbnikowicz opowiada swoje dzieje.

Dnia 1 Kwietnia 1805 roku przyjechałem do Warszawy. Celem mojej podróży były poszukiwania archeologiczne; zacząłem więc zwiedzać stragany pod kościołem świętego Jana i inne sklepiki na starem mieście położone, i wiele przeróżnych dokumentów, ksiąg i monet polskich nazbierałem.

Spokojny żywot w mieście, liczne stosunki z ludźmi uczonymi i członkami towarzystwa królewskiego przyjaciół nauk, obfity połów pamiątek po straganach prawie codziennie, wszystko to było powodem, żem w Warszawie do tego stopnia zasmakował, że byłbym tam już dokołatał reszty ziemskiej mojej pielgrzymki, gdyby nie oko-

liczność następująca, która zupełnie inaczej mną pokierowała.

W Czerwcu tegoż roku, pięknego poranku, udałem się zwyczajem moim na nabożeństwo do kościoła ś. Jana wcześniej jak zwykle, bo o szóstej godzinie rano.

Po ukończonej mszy świętej, za filarem kościoła opodał ujrzałem młodą, wynędzniałą, wybladłą niewiastę mogącą mieć lat do trzydziestu, klęczącą pobożnie ze wzrokiem spuszczoneym do ziemi, a obok niej małego chłopaczka zapewne dziewięcioletniego, modlącego się także. Stroje matki i syna znamionowały głęboką nędzę, nędzę tych ubogich co to się wstydzą żebrać.

U drzwi kościoła oczekiwałem wychodu tych dwojga ludzi, — upłynął mi spory kawał czasu zanim te dwie osoby ukazały się na progu kościelnym.

Na pierwszy rzut oka, odrazu poznałem osobę, z bolesnem więc współczuciem zbliżyłem się do niewiasty i uchylając czapki, rzekłem:

— Mam honor mówić, o ile mi się zdaje, z JMci panią Hanną....

— Z domu Piórkowską — odrzekła, rumieniać się...

Wysunąłem więc rękę, i chciałem ucałować jej drobną rączkę, lecz tę cofnęła.

— JMci Panie Kalasanty! dziwi mnie to niepo-mału, że JMci Pan, nie wiedząc o zmianach jakie ze mną zaszły zbliżasz się do mnie. Jam już nie ta sama co w Krakowie, nie córka bogatego kupca, lecz uboga, losem ścigana kobieta. Mój ś. p. mąż hrabia Alfons, przez rozmaity zbieg okoliczności stracił cały majątek swój i mój, jam teraz biedna, nie zbliżaj się Pan do

mnie, dotknięcie ręki ubogiej Hanny może Panu być nie-miłem, a nawet i krzywdę przynieść....

— JMci Pani Hanno! a to co takiego, jeśli Pani uczciwie pracujesz na kawałek chleba i utrzymanie swoje i swojego jedynaka, to krzywdzić to nikogo nie może, chyba jakiegoś półgłówka.... Pani pozostałaś dla mnie tą samą, i zawsze z jednym uczuciem....

— Ach nie mówmy o tem....

— Nie mówmy, prawdziwie inne były wtedy, a inne teraz są czasy. Dawniej ze sercem pełnem nadziei dobrych i miłości, z wiarą w lepszą narodową przyszłość mogłem JMci Pani otwarcie wyrażać to co się kryło na dnie mojego serca. Dziś złamany losem i nieszczęściami Ojczyzny rozbitek nie powinienem ani marzyć. Gdy Ojczyzna nasza w grobie, nam jako wiernym synom nie więcej nie pozostało, jak czuwać nad grobem i skonać na grobie!

— Smutne masz myśli JMci Panie Kalasanty, wiary tracić nie trzeba, jest przecie Bóg na niebie, nie da nam zaginać marnie.

— *Si Deus nobiscum, quis contra nos*, powiada stare przysłowie, a tymczasem naród nasz upadł, Ojczyzna w grobie jęczy, a my....

— My powinniśmy się modlić do Boga i prosić o zmiłowanie; modlitwa, pokuta, ofiara i cierpliwość to nasze zadanie, to nasz obowiązek, bez wytrwałości i usilnej pracy nic być nie może i nie będzie. — Wszakże i książkę poetów naszych, wieszcz z Czarnolasu woła nie napróżno :

Służmy pocziwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże!

— Do modlitwy, pokuty, ofiary i cierpliwości jestem
może i zdolny, lecz już praca nie dla mnie — zawo-
łałem — dla mnie, com tyle już wycierpiał na świecie,
dla mnie, com tyle już przeniósł najserdeczniejszych za-
wodów! Dla mnie cisza do śmierci, a po śmierci grób!

Gdym kończył te słowa, Hanna skinęła ręką, abym
stał, widocznie chciała mnie pożegnać.

— Pani Hanno, pozwól mi Pani służyć i złożyć
me winne uszanowanie, ubóstwo nie krzywdzi nikogo!...

Nastąpiła chwila namysłu, a później westchnąwszy,
rzekła:

— Służę.

Na czwartem piętrze starej kamienicy, aż pod stry-
chem, do którego prowadziły ciemne i wąskie schody,
znajdowała się mała izdebka. Światło do niej wpadało
przez otwór w dachu, dwa sienniki, nakryte czemś ni-
byto podobnem do kołder, stanowiło całe posłanie, a ja-
ko jedyny mebel, sterczał u progu o trzech nóżkach poła-
many zydel. Obok niego w rogu, stał dzban z wodą,
a obok trochę sucharów.

Tak wyglądał przybytek nędzy....

Serco mi mało nie pękło z żalu gdym to ujrzał,
i wtedy zrobiłem stanowcze postanowienie w duchu do-
pomoczenia tej nieszczęśliwej wdowie. Przeto nie chcąc
tracić drogiego czasu, po chwilowej dość obojętnej roz-
mowie, pożegnałem ją.

Wracając do mieszkania, wstąpiłem na pocztę i wysłałem pod adresą Hanny, paręset złotych od niewiedomego, lecz po kilku dniach na poczcie oddano mi je z powrotem i oświadczone, że adresantka przyjąć nie chciała.

Harda dusza w ubogiem ciele, pomyślałem, i zacząłem przemyśliwać nad sposobami dopomożenia. Dowiedziawszy się później o tem, że moja Hanna pracuje jako szwaczka, zarzucałem ją rozmaitą robotą, której jednakże odbierać nie spieszyłem się wcale. Po upływie dwóch miesięcy, dziewczyna jakaś przyniosła mi ukończoną bieliznę i od niej powziąłem wiadomość, że Hanna tak pracowała ciągle, że aż na oczy zachorowała.

Wezwałem znanego mi doktora, uprosiłem go, aby nibyto wypadkiem, wstąpił do mieszkania nieszczęśliwej wdowy i dał radę.

Powrót doktora był dla mnie przerażający, po ścisłem badaniu znalazł u niej początkujące szarą zaćmę źrenicy i suchoty, a to wszystko z pracy i łez.... Biedna niewiasta!

Po miesięcznem namawianiu i prośbach, nareszcie Hanna moja wraz z synkiem Edziem, za poradą doktora zdecydowała się wyjechać na wieś. Ofiarowałem jej gościnność u siebie na wsi, hen na Ukrainie....

Świeże powietrze w podróży, lepsze pożywienie, zba-
wiennie zdawało się że wpłynęły na jej zdrowie, apetyt się

zwiększał rumieńce okraszały lica, a choć sił brakowało przypisywałem to znużeniu w niewygodach drogi.

Bóg znowu srodze mnie dotknął wkrótce. Prędko po przyjeździe na wieś, prędzej aniżelim się spodziewałem, powołał Bóg do siebie mojego anioła. Zasnęła w Bogu spokojnie z wyrazem jakimś nieziemskim na twarzy. Rozpacz moja była nie do opisanego, płakałem, jęczałem, tarzałem się po ziemi jak potępieniec, a mały Edzio stał nieruchomy. Ostatnie ogniwo łączące mnie ze światem prysło, i zostałem już sam jeden na ziemi. Pogrzeb sprawilem suty, a chcąc mieć choć po śmierci bliżej siebie mojego anioła, w końcu ogrodu wzniosłem kapliczkę, i tam w jej podziemiu umieściłem drogie mi zwłoki....

Zostawszy opiekunem Edzia, zająłem się jego wychowaniem, umieściłem go na pensyi w Warszawie, a sam wróciłem do ciszy wiejskiej, która tak mi teraz miłą była, i do drogocennej kapliczki, w której codziennie słuchałem mszy świętej, odprawianej przez mego kapelana.

I tak mijały lata... Edzio ukończył nauki, nabrał poloru światowego, brak mu było tylko serca... którego niestety nie odziedziczył po matce.

Wrócił tedy z Warszawy, oddałem mu przeto gospodarstwo, a chcąc go uszczęśliwić i przywiązać do tego kawałka ziemi, przez akt urzędowy darowizny zrobiłem go właścicielem, zastrzegłszy sobie dożywotnie utrzymanie.

Po akcie tym Edzio się zmienił, gospodarstwo zdał na ręce jakiegoś przebiegłego szwaba nazwiskiem Birn-

bauma, a sam co rychlej czmychnął za granicę i na czas długi zginął mi bez wieści.

Ja tymczasem zostawiwszy w domu wiernego sługę mego Hawryła, jako strażnika i opiekuna moich zbiorów, wraz z księdzem kapelanem, na odpokutowanie swych grzechów, puściłem się w pielgrzymkę do miejsc świętych ojczystych....

Zwiedziłem więc Berdyczów, Poczajów, Podkamień i Częstochowę, a na zimę przybyłem do Warszawy. Dawne zamilowanie odżyło we mnie znowu, przekupnie i przekupki, żydki i faktorowie, znosili mi przeróżne pamiątki, a ja wybierając co rzadsze, zwolna bogaciłem me zbiory. Z nadejściem wiosny, chciałem się znowu udać do miejsc świętych, aż oto odebrałem list z poczty od mojego Hawryła....

III.

Na tych słowach kończy się raptularz; w jego środku znalazłem wielką szarą kopertę, z właściwym adresem a w niej list następujący, który, że ma stosunek z dziejami żywota ś. p. Pana Skarbnikowicza, a więc go w całości tu podaję:

Wielmożny i Jasny Panie a moj łaskawyj Dobrodzieju!

Najprzud ściele się pod stopy Wielmożnego mego Pana i Dobrodzieja, i całuje Jego nogi z uszanowaniem, tyż i księdza Jacentego Dobrodzieja, któremu życze naj-

lepszego zdrowia. U nas prosze Wielmożnego Pana i Dobrodzieja wielgie fabulstwa się dziejo. Wielmożnyj Panicz nasz Edzio już wrocil iz za granicy, a wszystko przerabiają taj burzą, z Miemcem jeżdżą taj jeżdżą po polach, a wszystko coś szwargoczą między sobą, kilka razy za stołem slyszałem nieprzymierzając proszę Wielmożnego Pana jak Wielmożnyj Panicz Edzio mówił do Pana Miemca Farweltura Cukurfabryk, a Miemieć prosze Wielmożnego Pana wszystko kiwa głową taj mowi *ja*. Milczałem taj milczałem bo nie chciałem niepokoić Wielmożną Persenę Wielmożnego Pana, aż oto teraz dzisiaj, jak uwzięli się za robotę, taj Miemieć przyszedł do mnie taj wziął taj powiedział tak proszę Wielmożnego Pana tak nieprzymierzając: fort. Taj tak, że ja musiał wziąć taj zabrać wszystkie papiry Wielmożnego Pana taj zanieść tam hen do chaty Iwasiowej wdowy, ot u tego Iwasia proszę Wielmożnego Pana ot i tego co to służył za furmana u Wielmożnego Pana, a u Pana Ojca Wielmożnego Pana taj był za pacholka stajennego, taj tylko, i sam ja tu się znajduje, a prosze Wielmożnego Pana oni wzięli taj dom ze wszystkim prosze Wielmożnego Pana het do fundamentu rozybrali tak, że już teraz pusty plac, a Wielmożny Panicz Edzio pojechał tam gdzieś niewiadomo kędy taj wziął taj przywiuz dużo pieniędzy taj i z Miemcem Panem Furwalterym budujo taj budujo jakieś fabryki czy co. A ja już biedny stary sam jeden niewiedząc proszę Wielmożnego pana co już robić w tej turbacii, poszedłszy do diaczka, prosiłem, taj diaczek poradził taj wziął tak prosze Wielmożnego Pana taj napisał to co ja jemu mówił. Całuje ja stopy Wiel-

możnego i Jaśnie Dobrodzieja i Pana mego wiernie służący i poddany Wielmożnego Pana mego

Hawryło Bandura.

O dalszych losach pana Skarbnikowicza dowiedziałem się wypadkiem od X. Jacentego Pożyczkiewicza niegdyś jego kapelana. Z opowiadania jego wypada co następuje:

Pan Skarbnikowicz po odebraniu listu Hawryła w Warszawie zafrasował się bardzo, smutny wszedł do mej stancyi, mówił X. kapelan, i prosił abym mu odczytał jeszcze raz ten list, który tyle przykrych przynosił wiadomości. Poczem zapłakał rzewnie, załamał ręce, lecz nie wyrzekał tak jak wy młodzi to umiecie robić, a z pokorą przyjął ten cios i ofiarował Bogu. Nazajutrz był u mnie do spowiedzi, a z południa wyjechaliśmy z Warszawy.

Droga nasza trwała długo. Naprzód na modlitwach i nabożeństwach spędziliśmy ze sześć tygodni w Częstochowej, gdzie codziennie pan Skarbnikowicz przyjmował komunią, a co tygodnia spowiadał się u mnie. Na wyjeździe płakał, żegnając cudowny obraz Najśw. Panny i ze smutkiem na moje pocieszenie odrzekł: Pono to już po raz ostatni w tem życiu doświadczam ja łask tego cudownego obrazu, na stare lata nie spodziewam się, aby mnie to szczęście jeszcze mogło spotkać, abym mógł znowu pomodlić się tutaj, i przyjąć od przeora błogosławieństwo!

Z Częstochowy jadąc wolno i bawiąc po tygodni kilka to w Podkamieniu, to w Poczajowie, to nareszcie w Berdyczowie, już późną zimą stanęliśmy w domu.

Na dworze, jak sobie przypominam, mróz był okropny, przerażający, wiatr dał przeraźliwy, a północ już była bliska, gdyśmy stanęli przed ekonomią. Wierny i pocziwy Hawryło, wyszedł na spotkanie, ucałował nogi swego pana i łzami się zalał. Birnbaum wyszedł na spotkanie, sądząc, że to pan Edzio, a z sali mnóstwo żydów i szlachty rozmaitego wieku z krzykiem wypadło do sieni. Po chwili powarzeni cofnęli się wszyscy, a Hawryło wprowadził nas do bocznej izby.

Pan Skarbnikowicz zapytał o znaczenie tego zgromadzenia ludzi, a gdy Hawryło szczegółowie opowiedział kto z kąd przyjechał, i że wszyscy byli to wierzycciele Edzia, pan Skarbnikowicz zmarszczył ponuro brwi i drżącym z gniewu głosem, zawołał: — Ten urwis chce się zgubić, już stracił wszystko!

Po chwili dzwonki zadzwoniły na dworze. — Pan Edzio przyjechał! — zawołał Hawryło.

— Niewpuszczaj tu tego łotra — krzyknął pan Skarbnikowicz.

Edzio wszedł do sali, uklonił się wierzyicielom i szybko przemknął do swojej sypialni. Z Birnbaumem poszwargotał nieco, poczem Birnbaum jak szalony wybiegł.

Gdy to się działo u Edzia, pan Skarbnikowicz wybladły, smutny, wstał z krzesła, wziął na się lisami podbity kubrak i wolnym krokiem wyszedł z izby; Hawryło chciał mu towarzyszyć, lecz na jego rozkaz pozostał.

Po wyjściu pana Skarbnikowicza, podsunąwszy się pod drzwi sypialni Edzia, która o ścianę była od naszej

izby, słyszałem prędkie kroki, a po chwili wystrzał, wybiegłem...

W sypialni na podłodze zastałem tarzającego się we krwi Edzia, w bezprzytomności — narzędzie śmierci — pistolet, leżał opodal, a Edzio już konał. Na stole szukając wody, którą chciałem samobójcy w pierwszej chwili nieść pomoc, znalazłem kartkę.

Panie! daruj mi, przebac, straciłem całe twe miennie, żyć już nie chcę i nie mogę. Bądź zdrow, już ginę!

Edward.

W takim zamieszaniu, zapomniałem na wieki o Skarbnikowiczu, a że długo bardzo nie wracał, przeto niespokojny udałem się do ogrodu i po świeżych jeszcze śladach zbliżyłem się do kaplicy. Na schodach leżał jakiś ciężar, zbliżyłem się i poznałem zwłoki Skarbnikowicza zamarznętego na modlitwie!...

Tak skończył człowiek prawy i zacny w całym swym życiu, skończył na modlitwie na grobie tej co kochał nad życie. Pokój mu!

